

Ewa Przewięźlikowska

UZDROWIENIE
JEST DAREM
BOGA

Żyję z rakiem

Wydawnictwo WAM

© Wydawnictwo WAM, 2014

Korekta
Sylwia Łopatecka

Projekt okładki
Krzysztof Gotowicki

ISBN 978-83-7767-963-0

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447
faks 12 62 93 261
e.wydawnictwowam.pl

Drukarnia Wydawnictwa WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

Wstęp

To będzie opowieść autobiograficzna o mojej trzynastoletniej walce z rakiem.

Mam na imię Ewa. Mam sześćdziesiąt dwa lata. Jestem zwyczajną kobietą – żoną, matką dwóch synów, babcią sześciorga wnucząt – obecnie emerytką. Z wykształcenia jestem magistrem chemii, jednak nie zawsze pracowałam w tym zawodzie. Mieszkam razem z mężem w jednym z małopolskich miast, w Olkuszu, we własnym domu z pięknym ogrodem. Lubię śpiewać, opowiadać wnukom różne historie, gotować, pisać wiersze, czytać ciekawe książki. Interesuję się Biblią. Jestem wierząca i zaangażowana w ruchy religijne.

W jakim celu poświęcam swój czas i uwagę ewentualnych czytelników? No cóż, nie miałam takich planów, ale życie zmusiło mnie do tego, że zostałam ekspertem do walki z nowotworem złośliwym jamy brzusznej. Moja specjalizacja trwa już trzynaście lat.

Od początku mojej choroby szukałam stosownej literatury dla pogłębienia swojej wiedzy o możliwościach leczenia, podejścia do różnych wyzwań i trudności w codziennym funkcjonowaniu. Zależało mi na przekazie autentycznym, od osoby, która miała podobne doświadczenia i nadal żyje.

Nie znalazłam takiej książki. Odpowiedzi na wiele pytań znalazłam w salach szpitalnych i poczekalniach, w modlitwie, w oczach moich bliskich.

Jest dużo poradników medycznych i beletrystyki, ale dla moich potrzeb okazały się mało przydatne. Nie natknęłam się na przykład nigdy na książkę napisaną przez osobę ze stomią.

Długo wahałam się, czy opisać moje doświadczenia, ale przekonała mnie ostatecznie myśl, że być może to będzie taki mały „owoc”, którego Pan Bóg ode mnie oczekuje. Co z tego wyniknie – to już będzie tak, jak zechce mój Najwyższy Nauczyciel.

Mój „przypadek” jest skomplikowany. Przeszłam przez prawie wszystkie możliwe terapie medyczne, m.in.: siedem operacji na otwartym brzuchu, radioterapię, chemioterapię, zabiegi endoskopowe, hormonoterapię, antybiotykoterapię celowaną, wyprowadzenie nefrostomii, urostomii i kolostomii. Tak, żyję teraz z trzema workami przymocowanymi do brzucha i nadal cieszę się z życia!

Oprócz klasycznej, wysokospecjalistycznej medycyny, podczas mojej choroby korzystałam z różnych propozycji medycyny niekonwencjonalnej. Wypróbowałam zioła andyjskie, hipnozę, bioenergoterapię, ziołolecznictwo, homeopatię itp. Wszystkie te paramedyczne „wynałazki” pomagały trochę – ale tylko na chwilę.

Największą pomoc długotrwałą i niezawodną otrzymałam wraz z Eucharystią i oczywiście przez profesjonalne leczenie onkologiczne.

Ten tekst to w pierwszej kolejności podziękowanie dla Pana Boga za to, że dał mi już tyle szans i nadal mnie wspiera w podnoszeniu z kolejnych upadków, to również podziękowania dla mojego kochanego męża za trwanie przy mnie i wszelką pomoc, i zrozumienie przez cały ten czas, dla wyjątkowej rodziny: synów, synowych, wnuków i krewnych, którzy nigdy mnie nie zawiedli, dla wspólnoty modlitew-

nej Odnowy w Duchu Świętym i dla wspaniałych lekarzy i pielęgniarek z Kliniki Ginekologicznej przy ul. Kopernika i Centrum Onkologii w Krakowie, dla mojej lekarki rodzinnej doktor Małgorzaty i pielęgniarki Ewy, która od wielu miesięcy opatruje moje rany – za ich profesjonalizm i skuteczne leczenie, dla kapłanów, którzy budzili moją słabą wiarę w Boga.

„Przeciwnik” – rak jest wyjątkowo trudny, przebiegły, bezwzględny i nieprzewidywalny!

Z drugiej strony – tylko i aż – wiara w Boga, miłość, poświęcenie, złote ręce chirurgów, wiedza lekarzy i moja wola życia. Mieszają się i przenikają obronne czynniki duszy i ciała.

Twierdzę, że w mojej ciężkiej chorobie jestem szczęściarą. Spotkałam na swojej drodze tylu życzliwych i mądrych ludzi – dopatruję się w tym Bożego planu.

Po tylu dramatycznych przejściach sama się dziwię, że nadal żyję, funkcjonuję prawie bez przeszkód i mogę cieszyć się z kochanego męża, z wnucząt, synów, synowych i z mojego pięknego miejsca na ziemi.

Zdaję sobie sprawę z konieczności odejścia z tego świata, ale przyznam, że tak bardzo mi się nie spieszy. Przecież wieczność zaczyna się już tutaj na ziemi. Jest tutaj z nami żywy Bóg i widocznie chciał mnie jeszcze pozostawić na ziemi. Nie znamy swojego limitu życia – i bardzo dobrze! Zawsze możemy mieć nadzieję na dłuższe lata.

Kiedy miałam dwadzieścia siedem lat i byłam w ciąży z drugim synem, źle się czułam – prosiłam Boga, żeby mnie uleczył, abym mogła urodzić i zobaczyć chociaż moje dziecko, a potem niech będzie, co ma być...

Teraz już wiem, że dobroci Pana Boga nie można ograniczać. Nie tylko urodziłam i wychowałam wspaniałych

synów, ale przeżyłam bez większych kryzysów zdrowotnych całe pięćdziesiąt lat. Poważnie zachorowałam dopiero w 2000 roku.

To Pan Bóg dał nam życie i stale je podtrzymuje. Czy nam się to podoba, czy nie, to On jest Panem życia, w każdej formie i zna czas naszego odejścia. Gdy miałam silne objawy choroby i wydawało mi się, że zbliża się koniec – Pan Bóg mnie uzdrawiał i znowu czułam się nieźle. Innym razem, uśpiony rak wydawał się ostatecznie pokonany, ale nagle znowu zaciekle atakował.

I jak tu żyć na takiej „bombie zegarowej”?

Moja odpowiedź brzmi – normalnie! Na nic przyda się nasza panika. Lęku nie można całkiem wyeliminować, ale strach przed śmiercią może ją tylko przyspieszyć.

Co w takim razie trzeba zrobić?

Przywołać na pomoc Pana Boga, zrobić dokładne badania, poddać się koniecznej terapii. Lekarze dobrze wiedzą, co można zrobić w konkretnej sytuacji. Pacjenci nie muszą się na wszystkim znać. Dobrze jest jednak powierzyć diagnozę i działanie lekarzy Duchowi Świętemu. Modlitwa na pewno bardzo się tutaj przyda, a prawda o chorobie na prawdę wyzwala z lęku przed nieznanym i umożliwia podjęcie właściwego leczenia.

Pismo Święte mówi:

Poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli (J 8, 32).

Spotkałam się z opiniami, że taka praktyka jest skuteczna tylko dla osób głęboko wierzących. To kolejny mit! Pan Bóg uzdrawia nas z taką wiarą, jaką mamy aktualnie.

Na Msze Święte w intencji uzdrowienia przychodzą często przypadkowi, słabo wierzący, a nawet deklarujący się jako niewierzący ludzie, za namową najbliższych, dla

„świętego spokoju” i bywa, że to oni, a nie rozmodlone osoby są w cudowny sposób uzdrawiane.

Dla Boga nie ma „przypadków beznadziejnych”. Jeśli zechce, może nas przemienić duchowo i fizycznie – natychmiast lub stopniowo. Jako nasz Ojciec wie, co jest dla nas najlepsze i pragnie naszego dobra.

Jeśli nie mogę ostatecznie pokonać choroby, to muszę ją oswoić, zdyscyplinować, nie oddać jej wszystkich dziedzin mojego życia. W każdym położeniu warto Bogu dziękować i zawsze można się komuś przydać. Nawet leżąc na szpitalnym łóżku, można rozdawać dobre słowa, modlić się wspólnie, służyć radą. A kiedy jest bardzo ciężko – przyjąć z wdzięcznością i pokorą posługę rodziny, lekarzy, pielęgniarek, kapłana.

Dzieląc się moimi przemyśleniami i moim doświadczeniem – wierzę, że mogę pomóc osobom, które znalazły się w podobnej sytuacji. Mogę dać innym promyk nadziei.

Moja opowieść jest w sumie optymistyczna, nie ze względu na spektakularne zwycięstwo nad rakiem, ale na, jak dotąd, wyrównaną walkę z objawami choroby i radość życia mimo wszystkich przeciwności.

Jak to się stało? Początki choroby

Większość kobiet w okresie menopauzy ma problemy ginekologiczne. Ze mną też nie było inaczej. Bolesne (fizjologiczne) cysty na jajnikach, obfite miesiączki, bóle podbrzusza, wielokrotne wizyty u lekarzy. Cysty pojawiały się i znikwały pod wpływem leczenia farmakologicznego. Jedna z lekarek podczas badania ginekologicznego stwierdziła guz wielkości pięści i sugerowała konieczność operacji. Niestety, nie była zbyt stanowcza i na moje usilne prośby zastosowała leczenie fizjoterapeutyczne i antybiotyki. Panicznie bałam się operacji. Miałam czterdzieści pięć lat i uważałam, że taka operacja jest ryzykowna, bo mogę się nie obudzić po narkozie i nie będę już „prawdziwą” kobietą po usunięciu części narządów rodnych.

Nikt mi wówczas szczegółowo nie wyjaśnił zagrożeń i konsekwencji ewentualnego zaniedbania dalszego leczenia, i że to mogą być zmiany nowotworowe. Myślałam, że to zwykłe stany zapalne, i nie ma się czym przejmować.

A skoro guz zaniknął, to może nie ma zagrożenia życia.

Nie bez znaczenia było też to, że pracowałam wówczas w zarządzie znanej firmy produkującej artykuły odzieżowe. Żyłam w ciągłym stresie. W firmie dużo się działo. Pracy było mnóstwo, a ja nie mogłam zawieść!

W domu był drugi „etat”. Mąż na odpowiedzialnym stanowisku w dużej firmie, dwóch synów nastolatków.

Dla mnie wówczas było oczywiste, że prowadzenie domu, gotowanie, opieka nad synami, ogród – to mój święty i najważniejszy obowiązek. Byliśmy wtedy w trakcie rozbudowy naszego domu. Właściwie to była duża, wieloletnia inwestycja. Wymieniliśmy dach, drzwi, okna, podłogi, instalację CO i kanalizację, nadbudowaliśmy piętro, rozszerzyliśmy metraż. W końcu zrobiliśmy też porządną elewację. Sprzyjały nam okoliczności ulg podatkowych na inwestycje i dobre zarobki męża.

Historia mojego rodzinnego domu zaczęła się dużo wcześniej – wraz z jego zbudowaniem przez moich rodziców w 1957 roku. Wprowadziliśmy się zaraz po wybudowaniu domu z rodzicami i dwoma starszymi braćmi – Januszem i Jackiem.

Mój tato nie miał zbyt wiele środków finansowych (był drobnym krawcem rzemieślnikiem), a obowiązujące wówczas przepisy nie zezwalały na budynek mieszkalny większy niż sto dziesięć metrów kwadratowych. Dom wybudowano z rozbiórkowej cegły, kryty był wszechobecną papą, oczywiście nie był ocieplony. Piece kaflowe i żelazna kuchenka nie dawały dosyć ciepła. Łazienka była wyposażona w niezbędne minimum sanitarne. W planie domu były trzy pokoje mieszkalne, ale jeden pokój był w całości przeznaczony na zakład krawiecki, a drugi, stołowy – na przymierzalnię. Właściwie cała nasza piątka użytkowała na co dzień tylko jeden sypialny pokój, kuchnię i łazienkę.

Jako dziecko nie odczuwałam specjalnie mieszkaniowego dyskomfortu – wszyscy znajomi mieli podobne warunki. Byłam pogodną, pracowitą dziewczynką. Staralam się być pomocna dla rodziców, bo widziałam, jak bardzo nas ko-

chają i starają się, żeby nas dobrze wychować i wykształcić. Tato pracował w warsztacie po całych dniach, od świtu do wieczora, przez całe życie, bez urlopu i wolnych sobót.

Przez wiele lat zamieszkiwali u nas jeszcze uczniowie albo uczennice, którzy uczyli się zawodu krawca. Była to niezamożna młodzież z wiosek. Jej edukacja trwała trzy lata. Zwykle uczyły się u ojca zawodu równocześnie dwie lub trzy osoby. Miały u nas zapewnione wyżywienie, noclegi (na stołach, na siennikach – w warsztacie) i jeszcze jakies wynagrodzenie.

To były czasy, kiedy nie było dostępnej dla każdego komunikacji do odległych wiosek, no więc woleli spać w tygodniu u nas, a do swoich domów jeździli na niedzielę. Moja mama trochę im „matkowała”, smacznie gotowała i pomagała ojcu w szyciu. Dbanie o rodzinę i uczniów (razem osiem osób) – zaopatrzenie w żywność, przyrządzanie posiłków, mycie naczyń, pranie, sprzątanie, uprawa ogródka – wymagały jej systematycznej i mrówczej pracy.

Mama miała słaby organizm, często chorowała i moja pomoc okazywała się bardzo potrzebna. Kiedy miałam siedem lat, z własnej inicjatywy zaczęłam myć „garnki”, sprzątać, robić niektóre zakupy. Starsi bracia nie uczestniczyli w „babskich” pracach, a jeżeli już sprząтали, to byle jak – i tak trzeba było po nich poprawiać. Za to pomagali w ogrodzie kopać grządki, zbierać kamienie, rąbać drzewo. Uczyliśmy się wspólnie, przy jednym, niedużym, kuchennym stole – zwykle po kolacji i po sprzątnięciu przeze mnie całej kuchni.

W tym domu spędziłam swoje szkolne i licealne lata. Kiedy miałam osiemnaście lat, rozpoczęłam studia w Krakowie, gdzie poznałam mojego przyszłego męża i po studiach zamieszkaliśmy już razem – w mieszkaniu w bloku, w Wolbromiu, gdzie jako stypendyści i młode małżeństwo pod-

jęliśmy pierwszą pracę. Nasze pierwsze mieszkanie miało około trzydziestu pięciu metrów kwadratowych i mieściło się na czwartym piętrze nowo wybudowanego bloku. Było ciepłe i przytulne. Czynnosc był minimalny – sześćdziesiąt złotych miesięcznie (przy zarobkach dwa tysiące złotych). Za to wszystko inne było nieporównywalnie droższe niż obecnie w odniesieniu do pensji. Z czasem, z zakładu pracy przydzielono nam nowe, większe mieszkanie – w związku z urodzeniem drugiego syna. Pewnie mieszkalibyśmy i pracowalibyśmy tam nadal, gdyby nie nowa sytuacja rodzinna.

Na skutek powikłań po operacji wyrostka robaczkowego (zatoru) zmarł nagle w wieku sześćdziesięciu dziewięciu lat mój tato. Moja mama została sama w rodzinnym domu – zupełnie bezradna. Mama była zawsze schorowana i bała się sama spędzić w domu nawet jedną noc. Leczyła się od dawna na serce i inne dolegliwości. Tato był jej nieodłącznym opiekunem, a teraz go zabrakło.

Z naszej trójki rodzeństwa tylko ja mogłam się mamą zaopiekować – robiłam to zresztą już wcześniej podczas częstych odwiedzin w rodzinnym domu. Zaproponowałam mamie, aby przeprowadziła się do nas do bloku. Jednak mama kompletnie się do tego nie nadawała. Twierdziła, że w bloku brakuje powietrza, i że się tam „udusi”. Sama w domu nie mogła zostać, bo się bała. Nie było innego wyjścia i to my, młodsi, musieliśmy podjąć decyzję o przeprowadzce do rodzinnego domu i zapewnieniu mamie stałej opieki.

Przeprowadzaliśmy się więc całą rodziną do mojego domu rodzinnego w 1986 roku, niedługo po śmierci taty. Zostawiliśmy mieszkanie w bloku, pracę, synowie musieli zmienić szkoły.

Zaczynaliśmy od początku – szukanie nowej pracy w naszym mieście, remont i urządzenie domu. Mieliśmy wtedy po trzydzieści sześć lat i trzynastoletni staż pracy za sobą. Nie było jeszcze takiego wysokiego jak obecnie bezrobocia, ale o pracę już było trudno. Mąż rozpoczął pracę w pobliskich zakładach o profilu chemicznym, a ja musiałam zmienić zawód, zatrudniając się na stanowisku kierowniczym w firmie odzieżowej.

Wówczas do domu był już doprowadzony gaz, ale nie było jeszcze centralnego ogrzewania. W porównaniu z mieszkaniem w bloku dom był zimny i niedoinwestowany. Tak więc to nam przypadło w udziale dzieło rozbudowy i generalnych remontów. Rozbudowa do dzisiaj nie jest dokończona w planowanej wersji, bo synowie po studiach i założeniu rodzin wyprowadzili się do Krakowa, a dla naszych potrzeb, dwóch osób, dom okazał się za duży i do dzisiaj nie korzystamy ze wszystkich pomieszczeń.

Moje zdrowie po przeprowadzce i zmianie pracy to był temat drugorzędny. Nie chciałam nikogo obarczać moją ewentualną operacją. Byłam jeszcze młoda, silna – połykałam tabletki i robiłam wszystko, co do mnie należało. Byłam z siebie nawet zadowolona, że dobrze wywiązuję się z wszystkich obowiązków, że jestem doceniana.

Po upływie lat już wiem, że powinnam wtedy poddać się operacji narządów rodnych – być może nie rozwinąłby się nowotwór. Rodzina i praca poradziłyby sobie doskonale beze mnie. Bo nie ma ludzi niezastąpionych. Potrzebna była wówczas moja odpowiedzialna decyzja o radykalnym leczeniu – może rada kogoś bardziej doświadczonego. Przy całej mojej niefrasobliwości zachowałam jednak rozsądek i badałam się regularnie. Macica była nieco powiększona,

krwawienia obfite, bóle nasilały się, ale lekarze nie przymuszali mnie do operacji, tylko leczyli negatywne objawy.

Kilkakrotnie, w ogólnym znieczuleniu w szpitalu, miałam wykonywaną tzw. abrazję, tj. czyszczenie wnętrza macicy w celu usunięcia chorych tkanek i zbadania ich histopatologicznie. Wyniki tych badań nigdy nie wykazały zmian nowotworowych, tylko zapalne i martwicze. Dostawałam po tym kolejną porcję leków hormonalnych i antybiotyków, zwolnienie lekarskie na kilka tygodni i jakiś czas była poprawa. To usypiało moją czujność.

Aż nadszedł maj 2000 roku.

Wówczas już nie pracowałam na etacie, ponieważ zakład odzieżowy został zlikwidowany, jak większość tego typu firm, które nie wytrzymały konkurencji wolnego rynku, szczególnie ze strony producentów chińskich, tureckich i małych firm krajowych. Prowadziłam własną, jednoosobową działalność – pośrednictwo handlowe. Mogłam się na jakiś czas wyłączyć z pracy. Synowie byli już samodzielni.

Podczas kolejnej wizyty w gabinecie ginekologicznym w moim mieście lekarz stwierdził, że macica za bardzo się powiększyła i konieczna jest operacja. Sugerował, że przyczyną najprawdopodobniej są mięśniaki i że trzeba usunąć macicę i dla pewności jajniki też.

To był dobry lekarz, a ja wiedziałam już wówczas, że operacja jest dla mnie tylko kwestią czasu. Już bez oporu się na nią umówiłam w naszym powiatowym szpitalu.

Jeszcze przed zabiegiem odbyłam rozmowę z zaprzyjaźnioną z rodziną lekarką-anestezjologiem. Zapewniła mnie, że usypianie do operacji jest bezpieczne, że na pewno się obudzę z narkozy i przeżyję. Na operację poszłam z „marszu” – tak dosłownie.

Spis treści

Wstęp	7
Rozdział 1	
Jak to się stało? Początki choroby	13
Rozdział 2	
Operacja guza i przerażająca diagnoza – nowotwór złośliwy	22
Rozdział 3	
Mój pierwszy kontakt z Centrum Onkologii w Krakowie	31
Rozdział 4	
Chemioterapia i co dalej?	34
Rozdział 5	
Nie ma żadnego nowotworu – zdarzył się pierwszy cud!	39
Rozdział 6	
Czas darowany – ożywienie wiary w Boga	43
Rozdział 7	
Bioenergoterapia i hipnoza	50
Rozdział 8	
Nawrót nowotworu – czwarta operacja	58
Rozdział 9	
Umacnianie wiary. Modlitwy wstawiennicze	63
Rozdział 10	
Kolejna chemioterapia i napromienianie jamy brzusznej	72
Rozdział 11	
Stabilizacja samopoczucia. Ziołolecznictwo	82
Rozdział 12	
Dalekie podróże. Rygorystyczna dieta	86

Rozdział 13	
Rodzina, zadania życiowe, kapliczka i inne dary Boże	95
Rozdział 14	
Zwiedzam Europę.	
Urlop na Pojezierzu Drawskim	100
Rozdział 15	
Wodonercze i nefrostomia	106
Rozdział 16	
Piąta operacja. Dary życia dla całej rodziny	112
Rozdział 17	
Moje wspólnoty	121
Rozdział 18	
Leczenie zachowawcze	131
Rozdział 19	
Operacja szósta. Przetoka jelitowo-moczowa	141
Rozdział 20	
Stan prawie stabilny. Leczenie dróg moczowych	151
Rozdział 21	
Rozwój duchowy.	
Msze Święte w intencji uzdrowienia	155
Rozdział 22	
Sytuacja bardziej poważna	165
Rozdział 23	
Siódma operacja. Kryzys i poprawa samopoczucia	177
Rozdział 24	
Okres pooperacyjny.	
Badanie próbek guza za granicą	201
Rozdział 25	
Moje życie z trzema stomiami	206
Rozdział 26	
Wizyty kontrolne. Decyzja o chemioterapii	217
Rozdział 27	
Uśmiechy losu, badania kontrolne, leczenie zachowawcze	222

Rozdział 28

Bóg daje siłę, kiedy jej potrzeba 236

Rozdział 29

Boża Obecność w naszym życiu 245